Nro 18.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 23 sierpnia 1845. Rok szósty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 10 sierpnia 1845.

Stroje damskie. Każdy łatwo zrozumie iż jesteśmy teraz w porze roku, w której zmiany są żadne prawie, i niechcąc wpadać w próżną gadaninę, trzeba się ograniczać na opisaniu ogułowem niektórych strojów. Najpiękniejsze stroje gonią teraz pocztą nad brzegi Oceanu lub Renu, by tam ubierać piękne panie nasze, których branie kąpieli niezatrudnia tak bardzo, by niemiały czasu pomyśleć o przechadzce na której może się być zdybaną, lub o wieczornej zabawie, na której być podziwianą choćby przez jedną chwilę, staje się czasem silniejszem lekarstwem od wód słonych i mineralnych. W początkach września dopiero wysypie nam moda bogactwo nowych utworów, o których warto będzie pomówić.

Jestto więc chwila ciszy, i gdyby nie zupełne zwycięstwo jakie zjednały sobie kapelusze o kształtach wygiętych, zaokrąglonych z boku ledwie byśmy mieli co do powiedzenia. Kapelusze te, które zdają nam się istotnie wskrzesać *Pamelę* niesą bez właściwego sobie wdzięku, osobliwie jeżeli wychodzą z pracowni pani Baudry, w której zbiorze zdybać można zachwycające utwory ze słómki ryżowej, z krepy podszytej gazą, z tiulu rurkowanego, itd.

Między strojami miejskiemi uważaliśmy suknię z materii jedwabnej mieniącej się, ubranej na przodzie spodnicy szeroką wstążką marszczoną; stanik i rękawy gładkie; mantylka z czarnych koronek podszyta kitajką zieloną zaokrąglona z tyłu, wycięta koło rąk, i spadająca na przodzie długiemi graniastemi końcami: garnirowanie z tyłu o trzech rzędach koronek. Do tego kapelusz *Pamela* ze słómki przezroczystej ubrany wstążkami zielonemi o białych fręzlach.

Na zgromadzeniu na poły wiejskiem widzieliśmy także suknię jedwabną różową połyskującą barwą śrebrną, że stanikiem wpół wyciętym, ujętym w ramy berty marszczonej drobniutko; rękawy krótkie, wycięte, i nieco wywrócone by się lepiej ręce wydawały; spodnica gładka. Na ramionach szal z muszlinu indyjskiego; na głowie zaś kapelusz z krepy wyciągniętej ustrojony równianką z kwiatów spadających. Dostrzegliśmy także, że garnirowania piramidalne niewyszły jeszcze z używania, osobliwie jeżeli to stopniowe garnirowanie składa się z siatki koronkowej, która jest teraz w modzie.

Dodać jeszcze musiemy jeden utwor imaginacyjny pełen wdzięku; jestto kapotka grodenaplowa jasnozielona, z rurką tiulu białego i nowem rodzajem pióra peruwiańskiego barwy zielonej i białej, o koniuszkach białych.

Stroje męskie. Ponieważ dotąd małe bardzo są odmiany, przeto poprzestajemy na kilku ogułowych uwagach. Najmodniejsze teraz są; surdut zapinany aż do góry, z długim jak zwykle stanem; i rodzaj paletotu niezapinanego zupełnie, z kieszeniami położonemi na boku i połami lekko zaokrąglonemi w dole. Pantalony zawsze noszą szerokie o jednym szwie z strzemiączkami lub bez nich. Kamizelki zaś z kołnierzami stojącemi, guzikami aż do góry.

Rycina przedstawia: suknia biała krepowa krótka, dwa razy korunkami obszyta, spodnica z grodenaplu krepą i kwiatami ubrana, stanik z potrójną bertą, włosy w splotki różą upięte. Drugi szlafroczek z wełnianej materii lekkiej, na przodzie guzami i fręzlami ozdobiony, stanik otwarty do półkoszulka, kapotka z krepy kwiatami ubrana. Trzecia suknia jedwabna z dwoma falbanami, axamitką naszywana, stanik z pelerynką; kapelusz ryżowy kwiatami ubrany. Tu-

dzież frak do przechadzki morą wyłożony na klapach i kołnierzu, i surdut o jednym rzędzie guzików do góry zapięty.

Dwa obrazy z życia,

przez

Innocentę z P* P*.

Dokończenie.

Nadszedł nareszcie dzień ślubu, śród krewnych, przyjaciół, z całą solennością jaka przystoi dniu temu, ze wszystkiemi ceremoniami, śród łez i błogosławieństw przedślubnych, przystępywałam do ołtarza, ze skruchą w sercu, z modlitwą na ustach, głową pełną myśli jakby zadowalniając ojca, podobać się mężowi; nie myślałam wtedy wcale o panu Stanisławie, ale gdy jako drużba podał mi rękę i szybkim krokiem pociągnął mię do ołtarza, a ja mimowolnie w twarz mu spojrzałam, był blady jak ściana, schmurzony aż mię dreszcz przejął, uścisnął mnie za rękę, coś przebąknął czego niezrozumiałam; wuja zaś cisnął do serca aż się popłakali oba, mnie się zaćmiło w oczach, drżałam cała i słyszałam jak pan Tomasz sciskając siostrzeńca mówił: »teraz jej nie lubisz Stasiu, ja to widzę, i to mię boli, ale mam nadzieję że ją będziesz kochał gdy zostanie twoją wujanką, i przekonasz się że będę szczęśliwy.« — »Ach będziesz, będziesz, wujaszku! czyż wątpię?« Po tych słowach przystąpił pan Tomasz do ołtarza, wyrzekliśmy zwykłą przysięgę, po której raz jeszcze śród powszechnego rozrzewnienia upadłam do nóg ojcu, odebrałam powtórne błogosławieństwo od krewnych i znajomych, i podług zwyczaju przed pobocznym ołtarzem matki boskiej uklękłam aby się modlić; goście weselni porozrzucani po kościele, posiadali tu i owdzie, a niedaleko za mną w ławce osobnej usiadł pan Stanisław z panem Władysławem; z całą skruchą zaczełam modlitwę, ale usłyszałam za sobą szeptanie głosu pana Władysława; pierwszy raz w życiu przerwałam modlitwę, byłam ciekawą, i bóg ukarał mię, bo to com słyszała na długi czas spokój mi zatruło. — »Uspokój się Stanisławie tyś dziecko, gdzież się podziała moc duszy którą dotychczas miałeś, miałażby cię w ostatniej opuścić chwili.« — »Biedne, biedne dziwcze!« mówił pan Stanisław, »mój wuj najlepszy ależ ta różnica wieku, ach Władysławie ja ją tak kocham!« kończył przerywanie ścicha iż nie mogłam wszystkiego dosłyszeć. »Nie, nie, Władysławie« mówił dalej »ona nie zimna ona tylko nieśmiała, ale ona mię lubi może więcej jak sama wie, nie zna swego serca, i oboje będziemy nieszczęśliwi, stało się!« — »Tak stało się!« powtórzyłam; ciągle dalej narzekał pan Stanisław, perswadował mu przyjaciel, ale ja już słów dosłyszeć nie mogłam, straciłam przytomność, opuściłam ręce, i niewiem co się ze mną działo, gdym przyszła do siebie już byłam w ławce skropiona pachnącemi wódkami, otoczona od wszystkich którzy z trwogą powtarzali, »tak chłodno, kamienie zimne, klęczała tak długo.« Wstydziłam się tej słabości, przepraszałam ojca, wszystkich, usiadłam, chciałam żartować z siebie samej, niemogłam; każdy z teraźniejszych zakochanych byłby leciał ratować mdlejącą, byłby przyciskał do serca, trzeźwił, wykrzyknikami okazywał żal, miłość swoją. Pan Stanisław kochał mię może lepiej, jak wielu waszych, a jednak stał zdala, drugich przy mnie zostawił, pamiętał żem była żoną jego wuja, że to nie do niego należało, że to by było nieprzyzwoicie, bo też i przyzwoitość wtedy bardzo szanowano moje dziecie, i większą jak dzisiaj miano moc nad sercem; nie podał mi nawet ręki gdyśmy odchodzili do domu, szedł za nami, twarz miał niby spokojną, ale ja już w niej czytać umiałam. Świat wiadomości w jednej chwili odkrył się przedemną, przejrzałam wszystko, i przelękłam się tego; zestarzałam się w minucie, przeszłość szczęśliwa niemogła wrócić, przyszłości żadnej niebyło... była tylko przedemną droga, stumilowa sucha, prosta, bez barwna, nie można było z niej zboczyć po kwiaty, bo te były trzciną i prowadziły do zbrodni, w własne serce spojrzałam i tam było okropnie, było rozwinięte uczucie czyste, niewinne, ale mocne, wielkie, a te całą siłą pokonać trzeba było, pokonać, zastąpić innemi obowiązkami zimnemi, wrogami szczęścia; z życia całego które mogło było być swobodne kilka słów nieuważnych zdarło barwę i ogołociło go z wdzięku, słowem moje dziecie był to stan rozpaczy ale nie trwał długo; mocniejsza jak to wszystko była wiara w boga, w lepsze życie, miłość cnoty, i przywiązanie do ojca; zamknąwszy się w moim pokoju po długich łzach i modlitwie pozostał mi tylko cichy smutek, i ułożyłam sobie cały plan życia mego jak pełna doświadczeń kobieta, z rezygnacią i męstwem. Co więcej potrafiłam nawet przybrać maskę, umyśliłam zmienić moje postępowanie z panem Stanisławem, aby go w błąd wprowadzić i wszystkiego dokazałam. Osuszywszy łzy i przestąpiwszy próg mego pokoju, już nie byłam dzieckiem, dziewczyną, ale doskonałą kobietą, doskonałą w mym małym zakresie; na męża patrzałam bez wstrętu, owszem z przyjaźnią szczerą na jaką zasługiwał, z panem Stanisławem mówiłam wesoło, spokojnie, poufale, i po kilku dniach zdawało mi się czytać w

jego twarzy »nie, ona mnie nie kocha, byłem w błędzie.« Nie myśl moje dziecie aby czasami nie było żalu w mym sercu, łez w oku, aby to mię nie kosztowało wiele, była walka i straszna walka, ale to tylko w początkach. Pan Stanisław niechciał bawić przy wuju, niechciał gospodarować osobno, ale chciał iść koniecznie do wojska. Pan Tomasz musiał na to zezwolić, ale z żalem się z nim rozstawał i mnie serce bolało. W krótce umarł mój ojciec i kto wie czy tej straty byłabym zdrowiem nie przepłaciła gdyby nie przyjście na świat syna jedynego, a twojego ojca Amelko; ten święty węzeł przywiązał mię tym mocniej do życia, świata, do męża mego który zawsze najlepszym był dla mnie, i nawet mogę powiedzieć żem była szczęśliwą. Kilka lat przemineło; prócz twego ojca niemiałam więcej dzieci. Pana Stanisława nie widywałam nigdy, zmoim mężem zjeżdżał się czasem na kontraktach w stolicy i w innych miejscach ale nas nie odwiedzał; a ja mało z domu wyjeżdżałam. Raz pamiętam, mąż mój wróciwszy do domu po widzeniu się z panem Stanisławem zaczął żalić się na niego, czego dotąd nigdy nierobił. »Ot powiem ci Hanulko żal mi Stasia, dziwaczeje, smutny, żenić się niechce, i żołnierka mu niesmakuje, a co gorsza i do mnie powoli traci serce; prosiłem aby nas odwiedził, poznał, obaczył naszego jedynaka, niechce... majątku nie używa... szkoda chłopca« i łzy zakręciły mu się w oczach, »ja stary, wkrótce może umrę... on będzie opiekunem naszego Jasia, ale což z tego kiedy między nim i tobą niema jakoś dobrego porozumienia, ja to już dawno uważałem.« Od dawna nie wywołany rumieniec wyszedł mi wtedy na twarz i nie odrzekłam ani słowa. Spełniło się jak przepowiedział mąž mój; roku nie wyszło, po krótkiej chorobie świat ten pożegnał. Bóg widział jak mi bolesną była ta strata, a testament męža mego który jak relikwie przechowuję i który czytałaś Amelko jest najlepszym dowodem i świadectwem jaką byłam przez te lat dziesięc żoną, i czym godnie odpowiedziała przeznaczeniu memu. W dwudziestym ósmym roku życia zostałam wdową z dužym majątkiem, świeżemi jeszcze jak mi mówiono wdziękami i dzieckiem jedynym mającym dopiero lat ośm, i nieposzłam więcej za mąž, dla czego? sama niewiem, jakoś niemiałam ochoty, nikt mi się niepodobał. Pana Stanisława raz ostatni widziałam na pogrzebie męža mego, płakał bardzo, sciskał mego Jasia, przyrzekał mu opiekę, do mnie mogę powiedzieć z czcią i poszanowaniem przemawiał, ale to wszystko trwało krótko. Właśnie wybuchła wojna, obowiązek i serce tam go wezwało, okrył się chwałą, chlubnie walczył; dziś jeszcze słyszeć ci się zdarzy jak starzy towarzysze broni bez łez o nim mówieć niemogą; ale jak mi potym mówiono, za nadto się narażał, i zginął; znalezione przy nim papiery opieczętowane, zaadresowane do mnie, oddano mi; łza której się bynajmniej nie wstydzę spadła na nie nim je jeszcze otworzyć mogłam, i což tam było? zapis całego majątku na mnie; zasłonę którą miałam na głowie w dniu mego ślubu, bukiet dany mu przezemnie w kilka dni po naszym poznaniu, przy nim karteczka, data, godziny, dnia roku, i jego podpis. »I czegož płaczesz moje dziecie?« — »Ach babuniu to wydziera serce, to okropne! i gdzież ten bukiet spodziewam się že go masz.« — »Dziecko z ciebie! pomnij że temu lat kilkadziesiąt, ja wkrótce w proch się obrócę, a ty chcesz aby kilka listków były dotychczas czym więcej jak tylko prochem. Wychowanie twego ojca któremu się cała oddałam, jego ożenienie; nakoniec po stracie twej matki zajęcie się tobą moja Amelko, te były až dotąd jedyne cele życia mego, przytym byłam užyteczną ludziom, nie jedną nędzy łzę otarłam, a to mi tam może bóg na niebie policzy; przeszłam także wiele małych i większych wydarzeń, ale niektóre znasz po części, inne zaś nie utkwiły tak w mej pamięci jak pierwsze wrażenia młodości, i opowiedzieć bym ci je niemogła; więc na tym koniec. Wychowanie twoje a przynajmniej jego początki dane ci przez matkę, a poźniej przez najlepszego ale światowością trochę za nadto przesiąknionego ojca, ježeli w czym chybione za bardzo zastosowane do modnego świata, jam temu niewinna. Może bóg da že pomimo to, będziesz szczęśliwą, a mnie nie pozostaje, jak ostrzegać cię póki žyję, a potym umrzeć spokojnie. — Amelia długo patrzała w twarz babki, chciała w niej wyczytać, znaleść choć jedne z tych wražeń młodości, te piętno cierpień wielkich niezatartych, które w jej sposobie widzenia powinne były być wieczne, i jeszcze błyskać z przygasłego oka, ale nic z tego wszystkiego; była to twarz zwiędła, miła i piękna jeszcze, piękna wiekiem, świętością swoją i pogodna jak niebo, do którego wkrótce wstąpić miała. »Babuniu ja chcę być tobie podobną, choć nie tyle doskonalą« wołała Amelia. »Tyle czułaś, tyle cierpiałaś, i žyjesz, i nie zmartwiało ci serce i nie narzekasz na nieba. Los ludzi, choć tak bliska szczęścia, a tak nieszczęśliwa!« — »Stój, stój moje dziecie, już znowu wpadasz w szał twój zwyczajny. Ja nieszczęśliwa! nie, prawdziwie nieszczęsliwą ja nigdy niebyłam, ale ciebie Amelko ciebie raz jeszcze powtarzam zabije nieszczęsna egzaltacia twoja!«

*

2.

W lat cztery po tej rozmowie, gdy dobra babka Amelii od dawna spoczywała już w grobie, w jednym z najpiękniejszych hotelów naszej stolicy, na pierwszym piątrze, w pełnych mebli, ale i pełnych nieładu pokojach siedziało trzech mężczyzn, bez kart, lulek, to dziwne, a przecież to ludzie dziewietnastego wieku ale ważny przedmiot ich zajmował, i wszyscy trzej byli zasmuceni. »Biedny, biedny Alfredzisko!« mówił najmłodszy z nich dużym krokiem chodząc po pokoju, »taka młoda, piękna, dobra, anioł prawdziwy i tak zginąć. Co to było mój doktorze?« — »Nerwowe cierpienia« odrzekł Eskulap człowiek młody jeszcze z bladą, pociągłą, pełną wyrazu twarzą« ona musiała tak skończyć.« — »Jak to musiała? wszak my wszyscy umrzeć musiemy, ale porzucać świat tak wcześnie, będąc tak szczęśliwą, dwoje drobnych dziatek, biedny Alfred! On był do pożałowania gdy się tylko z nią ożenił« dodał z westchnieniem doktor »mnie się proszę spytać, ja byłem przyjacielem domu i wiem wszystko.« Ciekawe spojrzenie rzucił młody Alfreda przyjaciel, uśmiechnął się ze łzą w oku siędzący dotąd w milczeniu średniego wieku mężczyzna jakby chciał mówić, »i ja wiem wszystko,» a doktor oglądnąwszy się czy kogo więcej niema mówił dalej: — »Czy myślisz żem niebył przyjacielem Amelii? ją musieli kochać wszyscy co ją otaczali, ale coż stąd? te ciągłe ach, i ach, te ustawne egzaltowanie wszystkiego musiało zrobić nieszczęśliwym męża, zabić ją samą, a co więcej wpłynąć i na dzieci, jeźli starannym wychowaniem nie zdołają zapobiedz złemu, i teraz gdy jej już to szkodzić niemoże, gdy biedny Alfred może już za granicą, zszedłszy się z obowiązku w tych osierociałych po nich pokojach, gdzie każdy zakąt nam ich przypomina, możemy pomówić otwarcie. Charakteru Amelii skreślać niechcę i niepotrzebuję, dusza jej była piękną, bez najmniejszego cienia, a jednak Amelia nie była stworzoną do szczęścia i drugich uszczęśliwić niemogła. Pan Ludwik jako rodzony brat jej matki, znał ją bardzo dobrze, tobie zaś zrobię małę szkicę, rys z jej pożycia domowego, a pojmiesz wszystko i przekonasz się czy mam słuszność. Najprzód wiadomo wam że się w niej kochał Henryk W. Amelia jakąś heroiczną litością uniesiona, niekochając go, już chciała oddać mu swoją rękę gdy oto perswazie ojca, całej rodziny nieżyczącej sobie tego związku, a mocniejsze może jak to wszystko pojawienie się Alfreda rozerwało ten węzeł. Henryk kochając ją szczerze musiał się wyrzec praw do jej ręki, przy rozstaniu jednak nieudaną swoją rozpaczą tak umiał przekonać Amelię o swej miłości i żalu że już w swej imaginacii widziała go koleją wygnańcem, umierającym a może i nieżywym. Henryk jak wiecie potwierdził to, tajemniczym swym wyjazdem za granicę niedając o sobie żadnej wieści; Amelia tym czasem szczerze pokochawszy Alfreda została jego żoną, i zdała się być zupełnie szczęśliwą, często jednak jak wybuchy wulkanu, pojawiały się jakieś strachy, trwogi, wyrzuty sumienia; Alfred strwożony wzywał mej rady, a ja kilko kroplami ziółek czyż byłem w stanie uleczyć tę gwałtowną imaginacię, te wzburzone uspokoić nerwy, wstrzymać te łzy co płynęły bóg wie czego, tak to stopniowo się wzmagało w miarę nadwątlonych jej sił fizycznych. Wiecie że była najszczęśliwszą żoną i matką, ale coż potem wszystkiem; w mniej na chwilę pogodnej twarzy Alfreda, czytała zmianę jego uczuć, nieszczęśliwą przyszłość, w każdem zakwileniu dziecka chorobę, kalectwo, śmierć, a w każdej smutnej xiążce prawdę. Ileż to razy pocieszałem Alfreda że to ustanie powoli z laty, a czułem w duszy że Amelia starości dożyć niemoże. Otoż przed kilko miesiącami śród towarzystwa licznego zaczęto mówić o Henryku, robiono różne wnioski czemu nie wraca, nie pisze nawet... »może umarł, może się ożenił« dodał drugi — »a ja słyszałem« rzekł nic nie myśląc, i nic nie słysząc wcale, jeden z tych młodych ludzi, lubiących się popisywać z górnym stylem i czułemi sentenciami a niemając może i iskierki prawdziwego czucia w sobie.« — »Ja słyszałem« i znaczące spojrzenie rzucił na Amelią, »że Henryk samobójczą dłonią w zakącie nieznanym od ludzi przeciął przykry bieg żywota swego.« — Cios ten acz z lekkomyślnej i nieuważej rzucony ręki, dobrze jednak był wymierzony, Amelia zadrzała, i ja uważałem ją pilnie, w kilka minut scisnąwszy męża za rękę, wysunęła się z salonu; poszedłem za niemi; zaledwo przyszła do domu, w okropnych spazmach rzuciła się na sofę krzycząc »Alfredzie, opuść mię zabij! ja przeklęta potępiona! Henryk samobójca a jam tego przyczyną! ja ciebie kocham Alfredzie, ja używam szczęścia, a jego przyszłość zatruta, on zgubiony w tym i tamtym życiu!« — Usiło wania nasze próżne były, gorączka przemineła, Amelija uspokoiła się cokolwiek nawet, uśmiech na usta, rumieniec chwilowy na twarz powrócił, ale ciągłemi wstrząśnieniami nadwątlone zdrowie dłużej opierać się nie mogło, nikła, nikła powoli, a poźniej kończyła żałując życia, ubolewając nad Alfredem.

Dziwnym losu zrządzeniem w dni pare po jej pogrzebie Henryk powrócił chcąc dać poznać rodzinie, żonę swą, cudzoziemkę piękną, młodą, bo-

gatą, kochającą, i kochaną nie mniej może jak nią była Amelia. — »I cóż moi panowie sądzicie teraz, co zabiło biedną Amelię? To rzecz jasna« mówił z westchnieniem pan Ludwik, i jakby z grobu wywołanym proroczym głosem babki dodał: »ją zabiły wygórowane uczucia, wyobrażenia jej.« — My zaś ludzie nowej daty, ludzie świata osłaniającego mniej lub więcej nagą prawdę, ludzie noszący złe i dobre zarody w sercu, a piękne tylko sentencie mając w ustach, powtórzmy z biedną Amelią »Ją zabiła zgryzota sumienia.«

Z melodij hebrajskich
KORNELA UJEJSKIEGO.

Hagar na puszczy.

14. Wstał tedy Abraham rano i wziąwszy chleb i bukłak wody, włożył na plecy jej i oddał jej dziecie i odprawił ją, która poszedłszy, błądziła w puszczy Bersabee.
15. A gdy niestało wody w bukłaku.....
Genesis Roz. XXI.

Od słońca pożaru zczerniała mi głowa
A wkoło pustynia. — Do ciebie Jehowa
Podnoszę płaczący mój głos.
Spraw panie! by niebo nademną wychłódło.
I skały granitu zmień panie! na źródło
A piasek czerwony na wrzos.

I nigdyż Jehowa! i nigdyż do zgonu.
Nie ujrzę kwieciste doliny Hebronu,
Ni pana mojego, ni ród.
I nigdyż juz nigdy w mym dalszym żywocie
Nie usnę pieszczona przy jego namiocie,
Ni nocą wybiegnę do trzód.

Nam szaty od skwaru opadły w kawałach
I rzemień popękał na naszych sandałach
I cierpi i płacze mój syn.
Jam panie! kochała i byłam kochaną,
Szczęśliwą, to słusznie że jestem karaną
Lecz syn mój Ismael bez win.

Gdy wicher ogniowy po puszczy zawieje
I żarnym popiołem gdy po nas posieje
Ismael upada jak kwiat.
Ja tobie o panie! natenczas się kłaniam
I syna mem ciałem przed wiatrem zasłaniam
I chłodzę szmatami mych szat.

I nieraz czuwając gdy zdrzymie na piasku
Przebudzam się trwożna śród nocy i wrzasku,
Dławionej Gazelli to wrzask.
A wkoło Szakale oczyma mi świecą
I wyjąc uchodzą bo myślą żem lwicą
Tak z ócz mych rozpaczy gra blask.

I nieraz na białym szkielecie wielbląda
Zczajona twarz ludzka zle ku nam pogląda,
Błędnego wędrowca to trup.
I nieraz sęp głodny zawiśnie nad nami
A potem w mój zawój uderzy skrzydłami
I drugim zakracze na łup.

I nieraz gdy uśnie ja niosę..... O boże!
Ismael się zachwiał; iść dalej nie może;
Jak trzcina przechyla się z nóg,
I usta otworzył: o panie on pragnie
O panie! twa łaska niech ku mnie się nagnie
Tyś wielki, tyś mocny, tyś bóg!

Jehowa! Jehowa! on krzyknął on pada,
I usta spalone do ust mych przykłada
A żar z nich wyciągam miast tchu.
Przed głosem, przed moim czyś zaparł niebiosy
Jehowa! Jehowa! och wody! och rosy!
Kropelkę, kropelkę choć dżdżu!...

MARCIN CHUZZLEVILT,
kilka rysów Ameryki i jej mieszkańców
przez
KAROLA DICKENSA.

Ciąg dalszy.

»Jeżeli zapytasz mię« mówił dalej *gentleman* »czyli wróciłem z zagranicy więcej zadowolniony stanem rzeczy który u nas w ogromnym rozmiarze, w najnieznośniejszy sposób dzieli towarzystwo na dwie klasy, z których jedna większa masa mająca pretensyje do fałszywej niepodległości, najnędzniej podległa dla ladajakiego utrzymania życia, od lekceważenia wszelkich cywilizujących ustaw przyzwoitości i zwyczajów dobrego towarzystwa, a to tak dalece, że im który człowiek więcej jest gburowatym nieokrzesanym, tem lepiej odpowiada warunkom popularności, gdy tem czasem druga, zniechęcona zbrzydziwszy sobie tak podły sztandar wywieszany dla rozmaitego rodzaju pretensii i do wszelkiego użytku, chroni się na łono wdzięków i szlachetniejszych rozkoszy prywatnego życia w gronie przyjacioł i rodziny pozostawując dobro publiczne tym awanturnikom którzy go chwytać gotowi dla własnego interesu w tłumnych zamieszkach ogólnej zawierzuchy, wtedy znowu odpowiem, nie.«

I znowu Marcin zawołał »ah!« jakby w odbiciu echa, czując się z niechęconym i niespokojnym nie tyle, aby rzec prawdę, ze względu interesów ludzkości, jak z własnych swoich prywatnych powodów.

»Słowem« mówił dalej *gentleman* »ja tego nie znajduję, ani w to wierzyć mogę a tem samem nieuznaję,

aby my Amerykanie mieli być wzorem mądrości, przykładem świata, doskonałością rozumu ludzkiego, i wiele innych rzeczy w tymże samym duchu, jak to usłyszeć tu możesz co chwila; w mojem przekonaniu, dla tego jesteśmy czem jesteśmy iż rozpoczęliśmy nasz polityczny zawód przy dwóch nieoszacowanych okolicznościach.«

»Jakież one są« zapytał ciekawie Marcin.

»Najprzód, że historia nasza poczęła się późno w tej epoce w której dzięki potędze ducha czasu, uniknęliśmy owych wieków barbarzyństwa i krwi rozlewu przez które inne narody przechodzić musiały koniecznie, a tem sposobem dostało nam się całe światło wynikłe z ich długich i moralnych doświadczeń, bez żadnych cieniów otaczających trudne ich przejścia. Powtóre, że mamy obszerną ziemię i jak dotąd nie zanadto wiele ludności. Odciągnąwszy te fakta, z własnych zasług naszych nie wiele nam pozostanie do chełpliwości.«

»A wychowanie publiczne?« potrącił nieśmiało Marcin

»Zapewne, zapewne, w tym względzie niemała zasługa« odrzekł Amerykanin wzruszając ramiona »jednak i w tem niema się czego zbyt chełpić; gdyż starsze państwa, stosunkowo więcej może uczyniły w tem względzie, a mniej o tem gadają. My okazujem się w światłości w porównaniu z Anglią, to prawda, lecz stan Anglii jest krytycznym. Chwaliłeś pan otwartość moję, a więc otwarcie się wyrażam« dodał z uśmiechem.

»O mnie to wcale nie dziwi że pan wyrażasz otwarcie zdanie swoje o mojej ojczyźnie lecz że o własnej również otwarcie mówisz; na to nie byłem przygotowany.«

»Szczerość nie jest tutaj zbyt rzadkim przymiotem« wyjąwszy w śród podobnych jak pułkownik, Jefferson, lub Pawkins, chociaż przyznać trzeba że i najlepsi w pośród nas podobni są do owego sługi w Goldszmidzie, który niecierpiał aby kto inny oprócz niego drwił sobie z jego pana. Lecz dosyć o tem,« dodał, »pomówmy o czem innem. Przybyłeś tu bezwątpienia w jakimsić celu sir, może w zamiarze zrobienia majątku, chciej przebaczyć moim przypuszczeniom; w każdym wypadku bolało by mię to mocno gdybym przez moje zdania zbyt pana zniechęcił i odbierał potrzebną do działania energią. Jestem starszym od pana i krajowcem, może potrafię choć mało znaczącemi skazówkami być mu pomocnym.«

Nie było ani śladu ciekawości ani też natrętnej impertynencii w sposobie w jakim Amerykanin wyraził to życzenie; uprzejma jego grzeczność i gotowość usłużenia cudzoziemcowi była tak otwartą, niewymuszoną, że Marcin czuł się być pociągniętym i niejako zniewolonym do zupełnej ufności. Opowiedział otwarcie co go tutaj sprowadziło, swoje nadzieje i zamiary, a nawet uczynił zwykle dość przykre do uczynienia, wyznanie że był ubogim. W prawdzie nie wyjawił do jakiego stopnia posunięte było to ubóstwo, wyraził to tonem swobodnym, który mógł oznaczać, że zamiast na trzy tygodnie wystarczy mu do życia na sześć miesięcy; lecz zawsze powiedział że jest ubogim i że nieskończenie będzie wdzięcznym za jaką zbawienną radę, którąby się mógł zakierować.

Nie było to rzeczą trudną dla każdego, a szczególniej dla Marcina którego uwaga zaostrzoną została przykremi okolicznościami, dostrzedz na twarzy Amerykanina niejakie przeciągnienie rysów w wyraz politowania lub zniechęcenia w miarę jak młody architekta odkrywał mu swoje plany. Chociaż widać było iż usiłował wszelkiemi sposobami być zachęcającym; pomimowolnie kiwnął parę razy głową jak gdyby znowił sobie w duchu, obrachowawszy wszystko, owe energiczne proste słowa. »Nie, nic z tego nie będzie!« Lecz głośno wyrażał się z swobodną wesołością, mówiąc, »że chociaż w mieście Nowym-Jorku nie było jak na teraz żadnego widoku dla podobnego przedsiębierstwa, będzie się starał wszelkiemi sposobami wywiadywać czyli gdzie indziej nie znajdzie się coś podobnego. Uwiadomił iż nazywa się Bewan, studiował lekarnictwo, chociaż bardzo mało go praktykuje, mówił o swej rodzinie, swych stosunkach aż póki nie doszli do kantoru Rowdy-Journal.

Marek Japlej, jak się zdawało rozkoszował sobie w przedsieni kantoru, gdyż z tamtąd dochodził donośny odgłos pieśni »Rule Britania« *) która obiła się o ich uszy za zbliżeniem do tego miejsca. Idąc za głosem tej patryjotycznej *John-Bulla* piosenki, ujrzeli w istocie wesołego zawsze Marka leżącego sobie niedbale w pośród porozrzucanych pakunków i spiewającego głośno jakby dla zbudowania siwo-włosego murzyna który siedząc na jednym z tłumoczków wpatrywał się jak w tęczę w twarz Marka, gdy ten z głową opartą na dłoni miną zadumaną patrzał również na murzyna i spiewał bez przerwy. Widać było iż dopiero co obiadał, gdyż nóż, widelec i butelka podróżna, jakotéż szczątki jadła w chustce, leżały tuż przy nim.

Użył on czasu wypoczynku na przyozdobienie drzwi wchodowych kantoru Rowdy na których cyfra jego własnego imienia i przewiska dawała się wi-

*) Panuj Brytanio.

dzieć okazale wyryta literami łokciowemi a obok oznaczoony dzień i miesiąc w mniejszym rozmiarze, całość zaś otoczona świeżą obwódką dość śmiało i świeżo wyglądającą.

»A chwałaż bogu! jam się już obawiał czyś się gdzie nie zatracił sir« zawołał Marek skoro obaczył Marcina i poskoczył uradowany na przeciw towarzysza podróży.

»Wszak nic złego się nie stało jak ufam sir.«

»Nie, nic złego... Ale gdzież jest twoja okrętowa przyjaciółka?«

»Co! ta szalona kobieta sir? o, już ona teraz spokojna.«

»Czy znalazła swojego męża?«

»Tak jest sir; przynajmniej znalazła jego szczątki« rzekł poprawiając się.

»Jakto czy on umarł?«

»Umrzeć, nie zupełnie umarł sir, nie ma on za nadto mocną dozys febry i wewnętrznej gorączki aby to się dało pogodzić z życiem. Myślałem że biedna kobiecina umrze z rozpaczy oczekując na niego!«

»Toż on przecie przyszedł!«

»On nie przyszedł lecz przyczołgał się jakiś cień jego blady, tyle podobny do osoby którą ona dawniej znała ile twój własny cień, sir, przeciągnięty od słońca podobny jest do twojej. Lecz wreszcie były to własne jego szczątki bez żadnej wątpliwości, a ona, biedne stworzenie, z taką radością przyjęła te szczątki jakby to był cały człowiek.«

»Czy on zakupił tu ziemię w jakiej osadzie« zapytał pan Bewan.

»Oh, zakupił on ziemię« odrzekł Marek, potrząsając głową, »a co więcej, dobrze za nią zapłacił. Wszelkie rodzaje możliwych korzyści miały być przywiązane, do tej ziemi, jak zaręczali ajenci, i w samej rzeczy jedna korzyść była znaczną i prawie nieograniczoną... wody bez miary i końca.!«

»Jest to jednak rzecz bez której on obejść by się nie mógł« zauważył Marcin nieco kwaśno.

»Bez wątpienia sir, że obejść się nie mógł, bo ta woda była wszędzie, a żadnego dla niej ujścia. Nierachując kilku bagnistych rzeczułek tuż przy osadzie, te wody dochodziły zwykle sześciu stóp głębokości w porze suchej. Nie mógł on przekonać się jak były głębokie w porze słotnej, gdyż nieposiadał żadnego tak długiego narzędzia aby je zdołał z sondować.«

»Czy to może być prawdą?« zapytał Marcin swojego towarzysza.

»Rzecz bardzo podobna« odrzekł tenże. »Bezwątpienia jakie grunta nad Mississipi lub Missouri.«

»Jednakże przybył on z tego niewiedziećgdzie, do Nowego-Jorku naprzeciw swej żony i dzieci, i odpłynęli nazad na statku parowym o północy, tak szczęśliwi i uradowani że będą odtąd z sobą razem jak gdyby jechali prost do nieba. To też zdaje mi się że oni tam dążą prościuteńko sądząc po wychudłem obliczu biednego męża.«

»Czy mogę zapytać« przerwał Marcin spoglądając nieco pochmurnem okiem to na Marka to na murzyna, »kto jest ten *gentleman*? znowu jakiś przyjaciel!«

»Jakto, sir« przemówił Marek, biorąc go na stronę, i szeptając do ucha, tonem powierzania, »to człowiek kolorowy.«

»Czy mnie masz za ślepego« zapytał Marcin zniecierpliwiony, »że osądziłeś za rzecz potrzebną uwiadomić mię o tem, wszak widzę że on ma twarz najczarniejszą pod słońcem.«

»Nie, nie; gdy mówię że to jest człowiek kolorowy; chcę przez to powiedzieć że on jest jednym z tych których nasi napotykają nieraz na spodzie pewnych okrętów, człowiek i brat, wszak rozumiesz mię sir?«

»Niewolnik!« zawołał Marcin z cicha.

»Ah! tak jest, nic innego, niewolnik doprawdy! Gdy ten człowiek był młodym... nie patrz że się na niego sir, kiedy o nim mówię, gdy on był młodym jeszcze, został postrzelony w nogę, cięty w ramię, napiętnowany na lewym boku jako wieprz; zbity na kwaśne jabłko, dostał na szyję żelazny halsztuk z zębami, i nosił żelazne obrączki u dłoni i stóp. Te znaki są na nim do dziś dnia. Właśnie gdym się zabierał do jedzenia, pokazywał mi je i odebrał cały apetyt.«

»Czyż to może być prawda? zapytał Marcin swojego przyjaciela, który stał tuż przy nich.

»Nie mam żadnego powodu wątpić o tem« odrzekł tenże spuszczając oczy i potrząsając głową, »to się zbyt często wydarza.«

»Bóg z wami!« zawołał Marek; »jam się przekonał że tak jest, słuchając całej jego historyi. Jego miłosierny pan umarł; również i drugi uczynił toż samo, bo mu rozbił głowę inny niewolnik zbity okrutnie, który po tym uczynku uszedł i utopił się; potem dostał troszka lepszego pana; przez wiele lat oszczędzając uzbierał on sobie nieco grosza, i okupił swą wolność za niewielką cenę, a to dla tego że siły jego zupełnie stargane i często zapada na zdrowiu, wtedy przybył on tutaj do Nowego-Jorku, gdzie zarabia co może aby się utrzymać póki nie umrze i zebrać małą kwotę na jedno kupno... lecz cóż o tem mówić... idzie o wykupienie własnego dziecka, siedmioletniej dziewczynki« zawołał Marek zmuszając się do wesołości chociaż miał łzy w oczaeh.«

Ciąg dalszy nastąpi.

Grammatyka języka Maloruskiego w Galicii.

ułożona przez

JANA WAGILEWICZA.

Lwów w drukarni Stauropigiańskiej.

Miło nam donieść o wyjściu tej grammatyki bo jest zaiste najpierwsza która po wielkiej części zaspokaja znawców a niezawodzi początkowych pragnących nauki. Kilka albowiem grammatyk poprzednich do tego nie w naszym napisanych języku nie odpowiedziały swojemu przeznaczeniu. I tak grammatyka Pawłowskiego napisana po moskiewsku (1818) albo nie doszła do prawdziwego pojmowania lub go przekręcała umyślnie dla względów najmniej grammatykalnych, przez stronniczość uboczną, wcale nawet nie naukową. Chciała ona narzecze polskie gwałtem z moskwicić. Taki patryotyzm mimo całej gorliwości i zapamiętania wyznających go zagorzalców jest bardzo śmieszny i najwłaściwsze umieszczenie miałby w komedyach i farsach. Dwie inne grammatyki Luczkaj'a po łacinie i Lewickiego po niemiecku obok licznych szczegułowych błędów pochodzących z mylnego zapatrywania się na formacię prawideł i pierwiastki zasad posiadają tę jeszcze wadę ogólną, obfitą w błedne następstwa że nie rozróżniają narzecza małoruskiego od języka cerkiewnego czyli starobulgarskiego. Wagilewicz przeciwnie wytyka tę różnicę przy każdej sposobności, w cechach wydatnych; nadto daje zaraz z początku szczegółową sprawę o języku ludu czego do tychczas żaden nie uczynił. Szkoda że w tej rozprawie przydatnej nie już w nabywaniu języka małoruskiego lecz w wielu innych badaniach filologicznych, zbytnio się ścieśnił i pisał jak sam zeznaje raczej dla uczonych w tym zawodzie. Udziela więc po większej części samych przykładów odmian i różnic kiedy tymczasem bardzoby zdały się obok nich prawidłowe wywody, wnioski i zastosowania autora, ułatwienia zapatrywań, napomykanie podobieństw bez względu nato, czy kto wie o tem lub nie wie, czy ten lub ów uczony wystawi je sobie tak samo albo inaczej. To troskliwe zastanowianie się i rozróżnianie odmian w języku ludu od niektórych prawideł przyjętych w grammatyce Wagilewicza, dowodzi iż on układał grammatykę pismiennego języka: za cóż więc nazwał ją grammatyką języka maloruskiego w Galicii? Czyliżby Galicia miała oddzielne pismiennictwo małoruskie? Alboli może tych kilka choćby i kilkanaście starych nadań, zabytków xiążąt dawnych, a parę xiąg nowszych, zdołały język ludowy, niestały, ująć w spokojne prawidła i z porównania naprowadzić na niezmienne zasady? Wszakże Polacy greckiego obrządku czyli malorusini przez kilka wieków pisywali po polsku i do dziś dnia jeszcze tak piszą jak tego mamy świeży przykład na Kronice Lwowa. Oczewiście o samym języku tu mówię nie o duchu który jak wiadomo i bizurmański być może w xiążce pisanej nawet po małorusku. Że zaś pod względem stosowności objawieniom ducha moskiewskiego nie właściwy jest język polski i małoruski to pewna; bo cała przeszłość historyczna zatem przemawia w pieśniach i badaniach ludu, w ludziach takich jak Ostrogski i w ruchu całych mas. Lecz wracam do grammatyki Wagilewicza a pominąwszy wiele zalet wspólnych wszystkim dobrym grammatykom nie podobna jest przemilczeć o zasłudze jaką nasz autor w zgłębianiu języka małoruskiego z jednał sobie wyłącznie przez upojedyńczenie ortografii w celu zbliżenia i połączenia literatury 17go wieku z językiem żyjącym (str. XXI. itd.) powtóre przez postrzeżenia nad prozodią mianowicie zaś wytykając obok iloczasu miarowego jeszcze przyciskowy iloczas o czem nikt przed nim nie wspomniał. Z tych główniejszych pobudek zalecamy grammatykę Wagilewicza uwadze publiczności.

L. D-B.

Nowości literackie.

Na dochód dotkniętych tegoroczną powodzią wyjdzie niebawem dzieło Leszka hr. Dunina Borkowskiego pod napisem: »Niepowieści i Nierozprawy« zawierające między innemi niektóremi artykułami treści satyrycznej artykuły zupełnie nowe w tymże rodzaju. Ma się drukować w Bochni czcionkami Wawrzyńca Pisza, z którego typografu wyszło już kilka xiążek bardzo ozdobnie.

Druk gramatyki języka polskiego napisanej przez Jana Nep. Deszkiewicza znacznie już postąpił, i niebawem spodziewamy się oglądać w zupełności to zewszech miar pożądane dzieło; drukuje się w Rzeszowie.

W Wilnie u Glücksberga wyszedł poemat z Hołowińskiego, pod napisem: »Dzieciątko Jezus.«

Xięgarze warszawscy Orgielbrand i Merzbach zapowiedzieli jednocześnie wydanie przekładu »Dziejów konzulatu i cesarstwa« przez Thiersa; Orgelbrand wydał już tymczasem tom pierwszy; a Merzbach cofnął swe ogłoszenie.

Unger wydrukował obecnie dwa dzieła: »O dziesięcinach kościelnych na Rusi i historii literatury polskiej w zarysach« przez K. W. Wojcickiego, tom pierwszy.

Józef Kramer przesłał do Biblioteki warszawskiej, następujące oznajmienie: »Gdy drogą xięgarską uwiadomiony zostałem iż na kontraktach w Kijowie sprzedawana była jakaś xiążka pod tytułem: Listy z Krakowa przez Józefa Kramera tom drugi, a gdy oprócz jednego tylko listu umieszczonego w bibliotece warszawskiej (październik 1844); przyznaczonego do tomu drugiego, cały rękopism tego tomu o ile jest ukończony, znajduje się jeszcze w ręku moim, więc widze się być zniewolonym oświadczyć, iż nie jestem autorem onej xiążki i do niej się nie przyznaje. Kraków dnia 10. czerwca 1845.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.